ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Stycznia **N:ro 2.** Roku 1843.

ZAŚLUBINY
NA RUSZTOWANIU.

(Dokończenie.)

«Czemużeś sam sobie sprawiedliwości nie zrobił?« zapytała Izabela.

Smierć od sztyleta za lekka za taką zbrodnię, ja żądam śmierci na rusztowaniu. Antonietto zhańbił mój ród, mnie potrzeba jego zhańbienia.«

»Masz słuszność« — wymówiła cicho rejentka.

»Gdym się zaś w drodze dowiedział, że na głowę Rocca del Pizzo nałożono cenę, gdym przybywszy do Neapolu, na rogach ulic wyczytał obwieszczenie przyrzekające cztery tysiące dukatów temu, kto go żywcem lub trupem przystawi, wtedy dla większego bezpieczeństwa udałem się sam do ministra i oświadczyłem, że mogę przystawić człowieka, którego wszędzie szukają a znaleźć nie mogą. Ale minister nie chciał przystać na to, czego żądałem, to jest: posłuchania u Waszéj król. Mości; postanowiłem więc w innéj drodze dopiąć mojego celu, popełniłem rabunek na drodze z *Resiny do Torre del Greco.*«

»Toś ty, a nie Rocco del Pizzo?!«

»Popełniłem rabunek na drodze do *Aversa.*«

»I to — ty, nie on!?«

»Popełniłem zabójstwo na drodze do *Amalfi.* Śmierć Rajmunda była początkiem zemsty mojéj, bom postanowił chwycić się zemsty, skoro mi sprawiedliwości odmówiono.«

»Bogu dzięki, że cię znajduję! Trważ więc w przedsięwzięciu wydania Rocca del Pizzo?«

»Trwam.«

»Wiesz, gdzie się znajduję.«

»Wiém.«

»Ręczysz za jego schwytanie?«

»Ręczę.«

»I żywcem go chcesz przystawić?«

»Za nieżywego Carracciola, to mój warunek. Poszlij mnie pani do więzienia i dwom ludziom każ mię zaprowadzić do okna, z któregobym mógł patrzyć na stracenie Carracciola. Skoro on żyć przestanie, ja wydam Rocca del Pizzo.«

»A jeźli go nie przystawisz?«

»Moja głowa ręczy za jego głowę; powiedziałem to i powtarzam.«

»Słusznie«, odpowiedziała rejentka, »zapomniałam o tém.«

Po tych słowach klasnęła w ręce i wszedł kapitan straży.

»Odprowadzić tego człowieka do więzienia.«

Kapitan oddawszy nieznajomego straży, wrócił do rejentki.

»Teraz«, rzekła mu, »uwięzisz hrabię Antonietto Carracciolo i osadzisz go w zamku *del Ovo.*«

Kapitan udał się do pałacu Carracciola, ale hrabia musiał przewidzieć niebezpieczeństwo i umknął.

Ledwie odebrała rejentka tę wiadomość, która stwierdzała winę ulubionego dworzanina, wydała zaraz rozkaz do szlachty, aby jéj winowajcę w trzech dniach przystawiono.

Trzy dni upłynęło, a gdy się hrabia nie zjawił, Neapol budząc się z rana, ujrzał pięciudziesiąt mularzy zajętych burzeniem pałacu Antonietta, naprzeciw katedralnego kościoła.

Po zupełném zburzeniu z-orano ziemię i posypano solą.

Potém zburzono najbliższy na prawo pałac należący do księcia Carracciolo, ojca Antonietta, i tu po zburzeniu z-orano ziemię i posypano solą.

I znowu zaczęto burzyć pałac najbliższy na lewo, należący do starszego brata Carracciola.

Rejentka nakazała tak burzyć po kolei wszystkie pałace Carracciolych, póki nie wydadzą winnego.

W nocy po tym rozkazie, Antonietto sam stawił się do więzienia.

Ojciec i bracia udali się nazajutrz do królewskiego pałacu, ale ich rejentka nie przyjęła.

Uwięziony pisał do rejentki prosząc o posłuchanie. Kazała mu odpowiedzieć, że go przyjąć nie może.

Przez ośm dni rodzina odnawiała usiłowanie, zawsze bez skutku. Dziewiątego poranku mieszkańcy placu *Mercato nuova*, ujrzeli z podziwem i zgrozą rusztowanie przez noc wystawione.

Na jednym końcu rusztowania stał ołtarz, na drugim kloc. Między niémi widziano po jednéj stronie kapłana, po drugiéj kata.

Nikt nie wiedział dla kogo przygotowano rusztowanie, dla kogo kapłan i kat i ołtarz i kloc.

Wkrótce na wybrzeżu prowadzącém od przystani do *Mercato nuovo*, ujrzano człowieka, którego dwóch żołniérzy prowadziło. Mniemano, że to bohatér trajedyi, którą miano odegrać, ale on wszedł z żołniérzami do jednego z domów, stojących na tym placu i wkrótce pokazał się w oknie naprzeciw rusztowania. Zawiedła się publiczność na ważności tego człowieka, który miał zapewne być tylko widzem przygotowującego się drama.

Po chwili usłyszano zgiełk razem od wybrzeża i mostu *Madalena*, i z przeciwnéj strony pochodzący. Dwie procesyje się zbliżały. Na czele jednéj szedł piękny młody mężczyzna, na czele drugiéj piękna młoda dziéwczyna.

Piękny młody mężczyzna był Antonietto Carraciolo, dziéwczyna była Constanza.

Razem stanęli na placu, równym krokiem zbliżali się do rusztowania, i w jednym czasie nań wstąpili, Constanza ze strony księdza, Antonietto ze strony kata.

Chcieli się zbliżyć wzajemnie, ale im nie pozwolono.

Pisarz sądowy rozwinął pargamin i czytał donośnym głosem. Byłato umowa ślubna hrabi Antonietta Carracciolo z Constanzą Maselli, którą narzeczony swojéj przyszłéj małżonce tytuły i cały majątek zapisywał.

Chociaż cały plac był gęsto zapełniony ludźmi, których i przyległe ulice objąć nie mogły, chociaż każde okno wyglądało jak zamurowane głowami, a dachy zdawały się mieć żywe pokrycie z ludzi, przecież w czasie czytania umowy takie zaległo milczenie, że każde słowo było dobrze słyszane.

Przy końcu lud wydał okrzyki radośne, bo się domyślił, że mimo różnicy stanu, rejentka nakazała hrabiemu wrócić wiejskiéj dziéwczynie cześć wydartą.

Narzeczeni, którzy podobno dotąd sami nie wiedzieli, o co idzie, zdali się nabiérać odwagi, a gdy kapłan na nich skinął, przystąpili śmiało do ołtarza i uklękli.

Zaczęło się nabożeństwo ze zwyczajnémi obrzędami. Kapłan zapytał narzeczonych, czy chcą zawrzéć związek małżeński, i oboje wyrzekli donośnym głosem uroczyste słowa. Kapłan podał hrabiemu pierścień ślubny, który ten włożył Constanzy na palec.

I znowu uklękli oboje i kapłan im błogosławił.

Powszechne było rozczulenie wszystkich obecnych, powszechne uniesienie radości, z którą błogosławili młodemu stadłu, gdy oto nagle ten sam kapłan skończywszy obrzęd zaślubin, zaczął modlitwę za umiérających! Całe zgromadzenie przejęła zgroza, widząc, że dopiéro w połowie skończył się obrzęd i że ma nastąpić okropne widowisko!

W istocie ledwie Antonietto, tak mało jak wszyscy obecni domyślający się co go czekało, mógł się z przestrachem obejrzéć, porwało go dwóch oprawców, i nim pomyśléć mógł o obronie, już związali mu ręce, zaprowadzili do kloca, przy którym kat stał z podniesionym mieczem i kazali mu uklęknąć.

Constanza chciała pobiegnąć do Antonietta, ale ją kapłan zatrzymał.

Poznał Antonietto, że był bez ratunku! Wzniósł głowę, modlił się głośno, a obróciwszy się do Constanzy na pół zemdlony, rzekł jéj: »Do widzenia się tam wysoko«, i położył szyję na klocu.

Błysnął miecz w ręku kata i ciżba cofnęła się z przerażenia, bo głowa Carracciola oddzielona od tułowu, spadła na ziemię.

Dwa pobożne bractwa zbliżyły się powolnym krokiem do rusztowania, jedno z nich wzięło ciało ściętego Carraciola, a drugie uprowadziło nieprzytomną Constanzę.

Ciżba się powoli rozeszła, i wkrótce plac obszérny, był próżny, tylko krwawe rusztowanie stało jeszcze jakby na okazanie ludowi, że to, co widział, nie senném marzeniem ale rzeczywistym było wypadkiem.

Po rozejściu się ciżby, człowiek który pomiędzy strażą z okna przypatrywał się widowisku, wyszedł z domu i udał się nie do więzienia na powrót lecz do królewskiego pałacu.

Zaprowadzono go do pokoju rejentki, którą jak wprzódy zastał przy pulpicie do modlenia się z ręką na biblii opartą. Żołniérze z nim weszli i zatrzymali się u drzwi.

»Cóż, czy dotrzymałam swojéj przysięgi?« zapytała Izabela aragońska.

»Zupełnie«, odpowiedział nieznajomy.

»A tyż, chcesz swego słowa dotrzymać?«

»Gotów jestem.«

»Gdzie jest ten, na którego głowę cenę naznaczyłam?«

»Stoi przed Waszą królewską Mością.«

»Tyś Rocco del Pizzo?«

»Jestem nim pani.«

»Wiedziałam o tém.«

»I co mi teraz rozkażesz królowo?«

»Abyś sierocie był ojcem, wdowie opiekunem!«

»Jakto królowo?«

»Łaski i sprawiedliwości nigdy na pół nie wymierzam«, odpowiedziała i obracając się do żołniérzy dodała: »Ten człowiek jest wolny i może się udać bez przeszkody dokąd zechce.«

Constanza wróciła z bratem do Kalabryi, gdzie jak wiadomo, jeszcze w *Rosarno* żyła nieszczęśliwa jéj matka. — Gdy po roku matka umarła, Constanza przybyła znowu do Neapolu i wstąpiła do ubogiego klasztoru, któremu zapisała ogromny majątek, odziedziczony po mężu.

Rocco del Pizzo towarzyszył siostrze i do Neapolu.

W dniu zaś, w którym złożyła śluby zakonne, nie będąc już jéj potrzebnym, zniknął. Nikt go odtąd nie widział, i nikt nie wie, co się odtąd stało ze sławnym rozbójnikiem.

Podróż
po Indyjach Wschodnich.

Z listu jednego z oficerów pruskich, który przed kilkoma miesiącami udali się do Indyjów Wschodnich w chęci należenia do wyprawy angielskiéj przeciw Afganom, udzielamy niektórych wyjątków. Z Sakkar 8go października. Żegluga nasza na Indusie z Bombaj do Kuraszy trwała nadzwyczaj długo, bo od 3go do 9go września. Kuraszy leży śród pustyni zupełnie ogołoconéj z wegetacyi, gdzie ziemia rzadko od deszczu zwilżana, ciągle napełnia powietrze chmurami pyłu; i mimo gorąca na 105 stopni musieliśmy czas trawić pod namiotami, a przecie mieliśmy się za szczęśliwych, żeśmy się na ląd dostali. Ćwiczenia wojskowe są tu całą moją zabawą; przy jednéj próbie z rakietami, cudownie ocaliłem życie, bo za pęknięciem rury w tysiąc części, jenerał Napier i dwaj oficerowie stojący przy mnie, odnieśli rany, jam tylko żadnego uszkodzenia nie doznał.

Dla nauki i rozrywki umyśliłem odbyć podróż do Maggar Talao, czyli świętego stawu krokodylów, o mil 8 od Kuraszy odległego. Jestto cel pobożnych pielgrzymek, wielce odwidzany; tém bardziéj pragnąłem go obaczyć, gdy dopiéro niedawno Europejczycy go poznali, i nawet Aleksander Burnes tu nie był. Okolica, którą z kapitanem angielskim przebywałem jest naga, miejscami kamienista i glinkowata, okryta tylko z rzadka karłowatemi tamaryskami i kaktusami i przerznięta nagiemi skałami, które dwieście do trzysta stóp wysokości

dochodzą, i w krótkich przerwach ciągną się z północy ku południowi. Z tych skał miejscami odkrywa się widok daleki na pustą krainę, na miasto, obóz i morze, widok ożywiający, choć nie pocieszny. Dzikie gołębie, sępy, szakale i trzody dzikich koz, pasących się na rzadkiéj trawie, udzielają nieco życia téj, jakby martwéj okolicy. Po dwugodzinnéj konnéj jeździe ku południowemu wschodowi, postrzegliśmy z pagórka dolinę może 2,000 kroków szérokości mającą, z dwóch strón zamkniętą równo-ległemi wzgórkami, a po lewéj nie wielki ale gęsty lasek palmowy, z którego wyglądały banie grobów świętych. Do tego lasku przytykał rzadki gaik tamaryndowy, a na dolinie były ślady dawnéj uprawy. Minąwszy kilka nędznych chat, pomiędzy palmami, mango i tamaryndami stojących, zbliżyliśmy się do stawu, którego długość 200, a szérokość 50 kroków mogła wynosić, i z którego uświęcone krokodyle ku nam otwiérały paszcze. Źródło mineralne do Karlsbadzkiego podobne i tak gorące, że ręki w niém utrzymać nie można, wytryskując o milę z tąd w północnéj stronie ze skały, wnet znowu kryje się w skale, i tu dopiéro, zatrzymawszy jeszcze ciepła do 138°, wypływa. Mała kotlina otacza jego powtórny wytrysk, którą przepełniając, w staw się poniżéj rozléwa, a w tém stawie wygrzéwa się na słońcu około sta większych i mniejszych krokodylów. Mieszkający tu Fakirowie, ofiarują podróżnemu swoje usługi, i jak przy stawach w Charlotenburgu bawi to Berlińczyków, gdy na odgłos dzwónka wypływają karpie, tak tu cieszą się Fakirowie widokiem krokodylów, które na ich żałośne wołanie: oh, oh, wychodzą z wody, jak psy kładą się u ich nóg i szukają pożywienia. Widzieliśmy ze 40 tych straszydeł, i według starego zwyczaju, przynieśliśmy im kozła w daninie, a Fakirom podarunek, prosząc, aby za to przed Mahometem o nas pamiętali. Po tym przykrym widoku, posiliwszy się śniadaniem pod rozłożystym tamaryndem, wsiedliśmy o dziewiątéj na konie i po godzinnéj jeździe wrócili do naszego obozu.

Piętnastego września nasze przygotowania na drogę do Sakkar były ukończone. W dwóch łodziach puściliśmy się o piątéj po południu na rzéce Gara, a pęd wody i wiatr pomyślny, zaniosły nas w 12 godzinach do wioski tegoż nazwiska. Na końcu téj rozległéj ale nie pokaźnéj wioski, rozłożyliśmy się w przestronnéj budowli, oczekując aby minęło południe, a gdy słudzy przygotowywali nam obiad, zajęliśmy się tymczasem przyrządzeniem do dalszego pochodu naszéj małéj karawany, z 25 wielbłądów złożonéj. O piątéj ruszyliśmy za nią ku Tatta, przez nieuprawną ale bardzo żyźną okolicę, w któréj hyenny, szakale, dziki i rozmaite ptactwo obficie między gęstemi tamaryndami gości, i z których na próżno chcieliśmy o tym czasie co upolować. Przy wsi Gatscha, między stawami w cieniu drzew *Mango*, noc przepędziliśmy, aleśmy ruszyli w dalszy pochód już o 3ciéj po północy, aby wcześnie dójść do Indu. Droga nas wiodła pomiędzy groby, i nader żyźne, równe pola, okryte żytem do 14 stóp wybujałém. Po dziewięcio-godzinnéj jeździe ujrzeliśmy się nagle na ziemi kamienistéj, mając przed sobą skalistą wyżynę, na któréj tysiące grobowców z połyskującémi baniami i ozdobnémi słupami, jak miasto się wydawały. Z téj wyżyny okazało nam się Tatta, miasto w żyźnéj dolinie nad Indem leżące, i jak wszystkie tutejsze miasta, nader brudne. Tu spotkaliśmy piérwszych Beludszów na małych konikach, mających przed sobą strzelby zapalane luntem, a za pasem pistolety i puginały. Zuchwale nas mijali, i na zapytanie czy są Beludszowie, odpowiedzieli: »Tak jest, walczący Beludszowie.«

O trzy mile poniżéj Tatta, stały w przystani statki parowe, do przewozu dla nas przygotowane. Rząd utrzymuje tu cztéry długie, żelazne, parowe statki o sile 60 koni na Indusie, i tegoż jeszcze wieczora wsiadłem na Satelitę. Przywykliśmy z nazwą statka parowego łączyć wyobrażenia niejakiéj wygody i komfortu, ale tu, choć każdy podróżny za samą żywność płacił po cztéry rupie na dzień, tak wszystko było niesmaczne, żem dni dziesięć żył tylko herbatą i ryżem.

Płynąć na Indusie! na téj rzéce klassycznéj, o któréj fantazyja nasza tak świetne tworzyła obrazy, gdzie co krok spodziéwasz

się spotykać ślady wyprawy Aleksandra Macedońskiego, płynąc do kolébki rodu ludzkiego! Jakie tu myśli wielkie muszą się snuć w duszy! Rzeczywistość jednak, choć zajmująca, cudowna dla Europejczyka, odejmuje nieco z tego uroku, a w zamian znajdujemy tu, gdzie tak wielkie państwa kwitły przed wiekami, o których bycie tylko rzadkie jeszcze świadczą gruzy, starą naukę moralną, że moc poléga na czystości obyczajów. Ta potężna rzéka płynie dziś pomiędzy krajami mało-uprawnémi, bo ta ziemia urodzajna przez przeklęctwo przywiązana do tutejszego rządu, leży po największéj części odłogiem, dla tego, że lud więcéj niż połowę płodów musi oddawać w daninie, a reszta nawet nie jest jego pewną własnością. A co za piękny lud te Syndy! Chłopy rosłe, silne, smukłe, szlachetnéj twarzy, ciemnych oczu, w prostéj, malownéj odzieży, z długiémi brodami, w wysokich czapkach z jedwabiu i bawełny, złotem i śrébrem tkanych, przytém czynni i pracowici. Gdyśmy wsie mijali, zbiegali się starzy i młodzi popatrzyć na cudzoziemców, a my nawzajem nie mogliśmy się nacieszyć widokiem nadzwyczaj pięknych mężczyzn, i nadziwić nadzwyczajnéj szpetności niewiast. Rosłe jednak i spaniałéj postawy są te niewiasty z daleka widziane, i miło patrzyć, gdy niosąc wysokie dzbany z wodą, stąpają poważnie. Równie ciekawy jest widok ludzi pływających po rzéce na wydętych skórach kozich, lub rybaków, którzy leżąc na długim owalnym dzbanie, z siecią na prawém ramieniu, puszczają się na wezbrane fale rzéki, dla złowienia ulubionéj ryby *pula*. Nie boją się krokodylów, które tych ciemnych postaci nigdy nie chwytają, ale natomiast nas białych chciwie napadają. Płynąc blizko brzegów powoli przeciw wodzie, mieliśmy dość czasu do przypatrywania się wszystkiemu, a przybijając każdego wieczora do brzegu, sposobność zwidzania okolic, z ciekawości lub dla łowów, bo tu hyenny, szakale, jelenie, dziki, pelikany, gęsi, kaczki i kury różnego rodzaju, są w takiéj obfitości, żeśmy większą źwierzynę tuzinami, a ptactwo na sta widywali. W pięknych, murami albo parkanem zamkniętych źwiérzyńcach Emirów, często na trzy mile się rozciągających, opatrzonych sadzawkami dla napoju źwiérza i pięknémi budowlami do spoczynku dla właścicieli, widzieliśmy najpiękniejsze gaje Mimozy arabskiéj, zwanéj tu *babul*, któréj kwiat wonny do naszych lip podobny, z daleka powietrze zapachem napełnia. Pierwszéj zaraz nocy zarzuciliśmy kotwicę w bardzo pięknéj przystani pod takim gajem, nad którym księżyc czarowne rozléwał światło, i gdyby nie przerażające wycie hyen i szakalów, i naprzykrzone muskitos, nie moglibyśmy sobie życzyć przyjemniejszéj nocy.

Przy wsiach widywaliśmy pola uprawne okryte bawełną, indygo i żytem bacharyskiem i jawaryjskiem. O bacharyjskiém utrzymują, że kłos jeden tysiąc ziarn zawiéra. Nad każdém polem siedzi dzień i noc człowiek opatrzony w żywność i procę, aby kamieniami odstraszać ptactwo.

Drugiego dnia o 10téj zrana zawinęliśmy przed Hyderabad, do mieszkania angielskiego rezydenta pana **Mylne**. Rządowy jego pałac, bo tak nazwać można dom, we wszystkie wymyślnego komfortu potrzeby opatrzony, leży między wielkiemi drzewami *Mango*, może o sto kroków od brzegu, a z jego ogrodami łączy się posiadłość tu umieszczonego doktora **Leith**. Przed wszystkiém pragnąłem złożyć uszanowanie tu mieszkającym Emiróm, ale dwór w Hyderabad, bardzo w ostatnich czasach sprzykrzywszy sobie częste odwidziny obcych, nie łatwo téj łaski udzielać począł. Przyrzekł jednak pan **Mylne** uczynić, co będzie w jego mocy i nie małom się uradował, gdy jego Mimoszy przyniósł mi wiadomość, że Ich Wysokość przyjąć mnie raczy o 6téj. Na godzinę pierwéj przybyły cztéry konie z bogatém siedzeniem, przysłane dla mnie i dla mojego orszaku, mówię orszaku, gdyż towarzysze mojéj podróży chętnie uchwycili tę sposobność obaczenia dworu w Hyderabad. Wolałem jednak wsiąść na konia Dra Leith, a towarzyszom oddałem konie Emirów. Słońce już zachodziło, księżyc w całéj świetności zeszedł, gdyśmy do odległego o trzy mile Hyderabad wyruszyli. Oddział nieregularnéj jazdy do poselstwa należącéj, zamykał nasz orszak. Przy małéj warowni powitał nas Mundszy

Jego Wysokości Myr Nusir Chana, z szesnastu najstarszémi naczelnikami pokoleń, ludzi pięknych z długiémi białémi głowami, w malownéj odzieży, bogato uzbrojonych, na dzielnych małych koniach. Pozdrawiali mnie, dotykając się ręką do czoła i piersi, a Mundszy zapewnił, że Jego Wysokość rad będzie mnie widzieć. Muszę tu wspomnieć, że teraz pięciu Emirów panuje: Myr Nussir Chan, który pobiéra dochodu 11 *lack* (po 100,000 rupii, czyli po 66,666 ⅔ pruskich *courant*-talarów) przeszedł już lat 50, i tak jest otyły, że ledwo ruszać się może. Wiele w jego twarzy widać dobroci. Myr-Myr Mahomed jest przeciwnie chytry i ciekawy, i równie jak jego towarzysze, namiętnie łowóm oddany. Myr Szadad, ma dopiéro lat 28, uderza pięknością i wie o tém, że ma najpiękniejsze oczy i najpiękniejszą brodę; przytém odznacza się w postępowaniu szczególną uprzejmością. Młodszy jego brat, 17-letni Myr Hussein Ali, jest ograniczony i podejrzliwy, i czuje, że go lekce ważą. Nakoniec Myr Sobdar Chan, skryty i zręczny w postępowaniu, ma w sobie coś żołniérskiego i lubi wojnę. Ci czteréj ostatni mają tylko po 5 do 6 *lack* dochodu.

W wielkiéj warowni mieszkają Emirowie w lichych i źle umeblowanych domach. Przy głównéj bramie z trudnością przyszło straży, wstrzymać tłum wielki ciekawych, cisnący się do nas, i w tém nie najłagodniejszych używała środków — potém jechaliśmy to między murami, to między budynkami nieporządnie rozłożonémi. Gdyśmy stanęli u bramy, prowadzącéj do mieszkania Myr Nussir Chana, już było po zachodzie słońca, a widok, który nam się otworzył przy wstępie na dziedzińcu, był wielce ciekawy i malowny. Tu, z kąd widok sięgał na miasto i na dolinę Indu, siedzieli na wezgłowiach Emirowie Myr Nussir, Myr-Myr Mahomed, Myr Szadad i Myr Hussein, otoczeni kilkuset naczelnikami pokoleń, z którémi o kilka kroków naprzeciw nas wyszli. Ledwie mnie pan Mylne przedstawił, poczęło się ściskanie rąk ze wszech stron, poczém usiedliśmy a mianowicie ja wprost naprzeciw Myr Nussira. Rozmowa nasza zaczęła się od wzajemnego zawołania: *bohut kush* (bardzom uradowany) i *bisyar khush* (niezmierniem uradowany). Wyrazy te powtarzały się za każdém pytaniem. Koło Myr Nussira siedział Myr Szadad, opiérając ręce na poduszce aksamitnéj złotem i drogiémi kamieniami wyszywanéj. Myr-Myr Mahomed miał przed sobą bardzo bogato osadzony pałasz, który równie jak tabakierkę, starał się żebyśmy uważali. Moje imię musiałem kilka razy powtórzyć; Jego Wysokość pytał mnie o imię mojego króla, które trudno mu było powtórzyć, a jeszcze trudniéj Mudszemu dać zrozumieć, że nie o Russyi ale o Prussyi była mowa, o któréj Myr Szadad otwarcie przyznawał, że nigdy nie słyszał, i zaraz potém mnie zapytał, jak licznym wojskom rozkazuje król Fryderyk Wilhelm IV.? Odpowiedź jednego z moich towarzyszy: »520,000 ludzi«, mocno wszystkie Wysokości zastanowiła.

Myr Nusier posłał po swoją piękną broń palną, aby mi ją pokazać, a tymczasem nadszedł jego syn ukochany Abasalli, 16-letni młodzieniec, który dla podniesienia blasku swoich oczu, mocno sobie powieki poczernił. Zbiegły podoficer angielski, który dowodzi artyleryją Emirów i swojego języka już zapomniał, uczy młodego księcia po angielsku, który chciał się przed nami z angielszczyzną popisywać, ale ani ja ani przytomni Anglicy nie mogli go zrozumieć. W pół godziny po przybyciu pożegnałem Emirów, aby jeszcze złożyć uszanowanie Myr Sobdarowi, który mnie z dwoma synami i może 20 naczelnikami pokoleń, przyjął w ten sam sposób przed swoim własnym domem.

Ledwieśmy wrócili do siebie, już zastaliśmy posłańców od Myr-Myr Mohameda z wielkiémi misami ciast i owoców. Za nimi zaraz przybył jego Mundszy, który miał rozkaz zapewnić nas jeszcze raz o życzliwości swojego pana, i w imieniu tegoż prosić, abyśmy przyjęli w podarunku kosztowne kaszmirskie szale i piękne jedwabne materyje na pamiątkę, których jednak nie przyjąłem, słysząc, że już są w drodze posłannicy od drugich także Emirów, i zdałem tę rzecz na p. Mylne. — O dalszéj mojéj podróży do Sakkar nic mam co donosić. Jutro udaję się lądem do Forespoor, gdzie obrotom zgromadzonych wojsk chcę być obecnym.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 2. i obejmuje: 1) Rozprawę co do trzech-polowego gospodarstwa, przejścia z tegoż do wielo-polnego, i kiedy takowe staje się użyteczne. 2) O gnojnikach, przychówkach gnojówek i kompostów ze względu na ochędóstwo miasteczek i wsi, jak i na powiększenie pożytku z gospodarstwa rolniczego i ogrodowego, przez K. Fr. Turowskiego. 3) Chów bydła uważany z stanowiska gospodarskiego. (Dokończenie). 4) Środek zupełnie nowy przeciw zarazie pyskowéj i racic u rogacizny. 5) Nowy kram opieczętowany dla gorzelników. 6) Wspomnienie o instytucie agronomicznym w Marymoncie pod Warszawą.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 2. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Księżniczka Ostrogska, przez Augusta Bielowskiego. 2) Wiadomości ze świata muzycznego. 3) Teatr.

Z Warszawy: Do licznych dzieł, które w roku bieżącym niwę literacką zbogaciły, słusznie policzyć należy dopiero co wyszłe nakładem G. Senewalda w 2 tomach: *Podróże, przejazdki i przechadzki po Europie,* przez znanego nam niegdy redaktora »Dziennika powszechnego«, pana Lud. Pietrusińskiego, doktora prawa. Piérwszy tom poświęcił autor znanemu zaszczytnie doktorowi Med. i Chir. Wilh. Malczowi; drugi J. N. Kamińskiemu, dyrektorowi sceny polskie we Lwowie, znanemu z tylu prac literackich. Przyznać wypada i to słusznie, że koniec roku uwieńczył wszystkie literackie uczonych prace tém dziełem. Autor zwidziwszy celniejsze Europy miasta, a mianowicie: Wiedeń, Tryjest, Wenecyję, nadbrzeża morza Adryjatyckiego, tudzież inne w Niemczech i Anglii, daje nam szczegółowe opisy tych miejsc, sposobem tak malowniczym, humorystycznym i zwięzłym, iż mimowolnie nasuwa nam myśl, że tego sardonicznego dowcipu, którym szczególniéj odznacza się *Podróż sentymentalna Sterna,* pożyczyć od niego musiał. Lecz byłoby to ubliżać naszemu autorowi, gdybyśmy pożyczany nie zaś wrodzony dowcip, przyznawać mieli; owszem przeciwnie, wiedzeni zawsze miłością prawdy, musimy mu oddać to, co mu należy się słusznie, to *suum cuique,* ten talent, te wysokie zdolności, które tak pięknie w dziele swojém, w tak trafnych opisach, postrzeżeniach, szczęśliwych porównaniach, rozwinąć potrafił. Przydajmy do tego jeszcze, że w dziele tém znajdzie czytelnik tyle wesołych i dowcipnych wiérszy do okoliczności zastósowanych, iż te nie tylko do przepędzenia mile wielu chwil życia jego przyczynić się mogą, ale nadto wraz z tylą i tak rozlicznémi wiadomościami pod względem historycznym, statystycznym i artystycznym i t. p. zebranemi, okrąg jego wiedzy rozszérzą.

Tamże wyszła z druku *Logika,* ułożona podług Kiezewettera, przez T. Sierocińskiego, profesora języka polskiego i literatury w gimnazyjum guber. Mazowieckiém.

W Styczniu 1843 r. na pięknym papiérze i ozdobnym drukiem, pod redakcyją Teofila Maryi Malinowskiego i Ign. Zbirohowski-Koscia, wyjdzie: *Omnibus dla płci pięknej.*

Przed kilką już tygodniami doniesiono nam w pismach publicznych o wyjściu na świat piérwszéj obszerniéj pracy pani Eleonory Ziemięckiéj. Praca ta pod tytułem: *Myśli o wychowaniu kobiét,* przez niejednego zapewne ze skwapliwością wzięta do ręki, pięknym jest dowodem wzmacniającego się ciągle talentu autorki.

Jest przygotowanem do druku dziełko moralnie kształcące z historyi naturalnéj, fizyki, historyi powszechnéj i literatury, pod tytułem: *Motyl,* przez Józefa Żochowskiego. *(K. W.)*

W Londynie niejaki Cary, optyk, wynalazł śkło powiększające, którego skuteczność jest zadziwiająca. Narzędzie to ma sześć różnych stopni, i powiększa od 103 do 74,000,000 razy. Na drugim powiększenia stopniu wydaje się skrzydło konika polnego 27 stóp długie; na szóstym stopniu wydaje się oko muchy, które 750 soczewek mieć powinno, tak powiększone, że każda z tychże soczewek 14 cali jest wielką. Włos człowieka przez to śkło widziany, ma w przecięciu 18 cali a 4 stóp w obwodzie.

Hegemonia! moralna Hegemonia! Zkąd pochodzi ten wyraz? Thucydides używa go w dziejach wojny peleponezkiéj w tém miejscu, gdzie mówi o stosunkach ateńskich, naprzeciw innym państwom heleńskim. Przez ten wyraz rozumié on polityczną przewagę ateńską, chociaż hegemonia dosłownie oznacza przewagę we wszystkich rzeczach. Arystoteles, w swojéj polityce wspomina często o hegemonii jako przewadze politycznéj, ale nie używa tego wyrazu bynajmniej w swojéj etyce, w któréj przecież moralność umiejętnie rozbiéra i z najgłębszych tajników czerpie. Tym sposobem więc *Korespondent hamburski* wprowadził do dyplomacyi nowe słowo, jakiego dotychczas żaden z dyplomatów ani francuzki, ani angielski, ani niemiecki, ani hiszpański lub włoski nie używał.

Chiński buletyn. W królewskiéj biblijotece w Paryżu jest obecnie za śkłem wystawiony chiński dokument, na którym stoi napis następujący: »Chiński buletyn o mniemanéj klęsce Anglików pod murami Kantonu w roku 1841, przez Roberta Thom w Chinach kupiony, a przez królewskiego tłumacza pana Stanisława Julen, biblijotece tamtejszéj w miesiącu styczniu 1842 darowany.« — Nadmieniony chiński dokument zawiéra taki wstęp: »Barbarzyńcy angielscy wzniecili rozruchy w naszym kraju. Powstali oni przeciw niebieskiéj mądrości trzeciego dnia czwartego miesiąca (23 stycznia 1841). Uderzyli na jagnięce miasto (Kanton), ale Bóg nieba dotknął ich swoją zemstą, a Bóg ziemi rozpędził ich okręty.« — Na tym dokumencie znajduje się pęzlem wykonane malowidło, przedstawiające dwa okręty, na których pokładzie stoją w czerwonych mundurach oficerowie, dalowidy w ręku trzymające.

Podług dziennika *Didascalia,* Walhalla w pobliżu Ratyzbony kosztowała dotychczas około 14 milijonów zł. pruskich.

Poczta gołębiami w Anglii. Mieszkańcy połączonych trzech królestw Wielkiéj Brytanii zaczynają coraz bardziej używać poczty gołębiami; jakoż témi czasy żaden parowy statek angielski nie zawija na wybrzeże francuzkie, aby nie przywiózł z sobą wychowanych w Anglii gołębi, które przy piérwszéj ważnéj sposobności z bilecikiem przez kanał na powrót do domu odsełają. Tym sposobem przybyła do Londynu, Liwerpola, Dublina i Edynburga wiadomość o wzięciu St. Jean d'Acre, obalenie ministeryjum Thiersa, nakoniec o angielskich zwycięztwach w Chinach i Afganistanie, zawsze o 18 do 24 godzin prędzéj niż wiadomości gońcem nadesłane. Nawet majętna arystokracyja zaczyna już w swoich stosunkach familijnych tych skrzydlatych posłanników używać, a dzienniki angielskie donoszą prawie co tygodnia o ważniejszych

wypadkach za pomocą takich środków korespondencyjnych. I tak *Leinster Express* opowiada, że gdy hrabia Donoughmore z swego zamku Palmerstownhouse, niedaleko Dublina, przesłać chciał ważną i pilną wiadomość do Castel Bernard, uczynił to gołębiem, który przestrzeń wynoszącą 62 angielskich mil, pomimo zawieruchy i słoty w przeciągu nie spełna dwóch godzin odbył.

Na jednem z ostatnich posiedzeń izby reprezentantów belgijskich, pan Sawart ujmował się z wielką energiją za płcią żeńską, a mianowicie za pannami, które mężów dostać nie mogą. Należy, rzekł on, na mężczyzn, którzy się żenić nie chcą, nałożyć podatek. Bo każdemu jest wiadomo, że dziewczęta, skoro dójdą lat dwudziestu, najgoręcéj pragną pójść za mąż. Jeźli pomimo tego nie wchodzą w związki małżeńskie, nie jestto ich wina, i nie można ich karać za bezżeństwo, które dla nich jest nieszczęściem.

Ceremonija całowania płaszcza w Konstantynopolu. Dnia 23. w miesiącu *Ramazan* (w subedni), udaje się Wielki Sułtan z wszystkimi dygnitarzami korony i całym swoim dworem do seraju w Top Kopu, dla ucałowania tamże, jak zwykle każdego roku płaszcza Wielkiego Proroka. *Chirkai szeryf* (płaszcz święty), znajduje się w *Chaz-Oda* wielkiéj sali, w któréj także wiele innych relikwij i klejnotów jest przechowanych. Święty ten płaszcz owinięty jest czterdziestoma z drogiéj i cienkiéj materyj tkaninami. Po odwinięciu wszystkich tych pokryć, naklęka najprzód Wielki Sułtan i z najgłębszą pokorą i pobożnością całuje połę tego świętego płaszcza. Za powstaniem W. Sułtana z ziemi, przystępuje Szejk-ul-Islam do płaszcza, i rzuciwszy się na kolana, całuje podobnież a za nim wszyscy dygnitarze po kolei, podług stopni i dostojeństwa. Wielki Sułtan stoi podczas całéj téj ceremonii, a Sylich-dar-Aaga (miecznik) obciera za każdą razą muszlinem miejsce, w które pocałowano. Ręczników tych jest zwykle tyle, ile całujących; a po skończonéj ceremonii, Sylichdar-Aga rozdaje takowe między osoby, które całowały. Potem przynoszą dużą, srebrną miednicę z wodą. Szejk-ul-Islam, poważny starzec, z długą po pas brodą i przepysznym dyjamentowym orderem na piersiach, zanurza koniec płaszcza w miednicę, potem wyjąwszy, wysusza go. Gdy się to stanie, zawijają znowu płaszcz w pokrowce, a świętą wodę zlewają w butelki, które Kislar-Aga (naczelnik czarnych rzezańców) swoim sygnetem pieczętuje. Poświęconą tę wodę, rozsyła Kislar-Aga do haremu Wielkiego Sułtana i dygnitarzy koronnych, którzy ją piją przez 15 ostatnich dni *Ramazanu*. Tą wodą kończą oni zwykle post po zachodzie słońca. To jest do szklanki napełnionéj świeżą wodą wpuszczają kilka kropel wody święconéj i piją z pobożnością przed wieczerzą. Jest-to pierwszy posiłek, który po dwunastu godzinach do ust swych biorą. Święcona woda ta umacnia w wierze i daje siłę do modlenia i zachowania postu aż do końca świętego miesiąca.

Osobliwszy skład familii. W Paryżu przy *pasage de la Boule rouge*, złożona jest istotnie pewna familija z następujących członków: Ojciec jest Francuz, jego żona Angielka, najstarsze dziécię ich urodziło się na wyspach sangwichskich, drugie na wyspie Malcie, a trzecie w Hiszpanii. Służący téj familii jest Szwajcar, a służąca Holenderka. Papuga przyszła na świat w koloniach, pies jest z *Terra Nova*, a kotka z Persyi. Pomimo tych różnych narodowości, panuje jednak jak najlepsza zgoda w téj familii.

Pers zalotnikiem w Europie. Wiadomo, że wice-król Egiptu kilku z krajowéj młodzieży, będącéj w jego służbie, wysłał do różnych krajów europejskich, aby się tam w umiejętnościach i obyczajach wykształcili. Jeden z tychże, młody Pers, bawił przed kilką laty we Florencyi. Tam zabrał z nim znajomość pewien Anglik, który go do osiadłéj tamże angielskiéj familii wprowadził. Mistress B... przyjęła cudzoziemca bardzo uprzejmie, i przedstawiła go licznemu towarzystwu. Uroda i szlachetna postać Persa, równie jak i bogaty a przytém gustowny jego ubiór podobały się powszechnie; mówił on dość płynnie po włosku i zachowywał się bardzo przyzwoicie. Spostrzeżono wprawdzie, że przez cały wieczór nie rozmawiał jak tylko z córkami mistress B..., wszelako przyznawano mu dobry smak, gdyż te trzy dziéwczyny były równie piękne jak i kochania godne. Nazajutrz przybył młody Pers bardzo rano do pomienionego Anglika z prośbą, aby raczył dla niego prosić Mistress B... o rękę jéj córki. Anglik zrobił mu uwagę, że w Europie zwolna przystępuje się do takiego kroku, wszelako nie odmówił swego wstawienia się, ale zapytał, z którą właściwie z tych trzech panien chce się ożenić? — »Że wszystkiémi trzema.« — »Jako, ze wszystkiémi?« — »A jużci, wezmę je wszystkie trzy i zapłacę tysiąc czerwonych złotych za każdą sztukę. Basza jest moim dobrodziejem, i ma wielkie upodobanie w pięknych Angielkach, mam sobie więc za powinność okazania mu méj przychylności. A że właśnie za dni kilka odpłynie okręt z Liworna do Kairo, przeto nadarza się najlepsza sposobność posłać mu te dziéwczyny, które będą prawdziwą ozdobą haremu.«

Anglik mówi: *My house is my king dom* (mój dom jest mojém królestwem). Ale jeszcze czémsiś więcéj jest dla mieszkańca Sycylii jego łóżko: Jestto jego świątynia, w któréj go prześladować nie wolno, jestto najbezpieczniejsze miejsce dla niego. Można postawić straż w około, ale bezprawiem byłoby aresztować Sycylijanina, gdy w łóżku leży, albo gdy tylko na niém siedzi. Zdarzały się nieraz przykłady, iż dłużnicy dwa a nawet trzy miesiące w łóżku spędzili, co zresztą tém łatwiéj da się uskutecznić, ileż łóżko sycylijskie ma takąż samą szerokość jak długość.

Szarlatanizm. W Niederempt pojawił się od niejakiego czasu doktor cudotworny Schäfer Mohr, przeciw któremu ma być teraz proces sądowy wytoczony. W Düsseldorf wydano na tegoż doktora pastucha karykaturę, która jest następującą: Schafer otoczony kiesami, napełnionémi pieniądzmi, depce pokonanego Eskulapa nogami, i zabiéra się leczyć człowieka z uciętą głową, który też głowę w swém ręku trzyma. Umiejętność doktorska ucieka z karawanem czwałem od tego człowieka, a grabarze i posługacze pogrzebowi płaczą rzewnie, że im odebrano sposób utrzymania się. Aleopatowie i homeopaci, nadaremnie odtrącają rękami i nogami pacyjentów cisnących się do cudownego doktora. Lekarzowi kuracyi wodnéj wyskoczył szpunt z beczki, a jego uniwersalne lekarstwo leje się na ziemię. Policyja pieczętuje po aptekach puszki, tygle i kolby jako już niepotrzebne, chirurgowie i cyrulicy oddają się rozpaczy. Wszystkie proszki lékarskie ulatują w powietrze, a cudowny doktor nawet umarłych wskrzesać obiecuje.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.